

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Poraz drugi mieli już sposobność podziwiania widoku burzy morskiej..
(str. 167).

SZKODNIKI DRZEW OWOCOWYCH.

II. Motyle.

Motyle należą bezwątpienia do najładniejszych między owadami. Wysmukłe i zgrabne, z dużemi barwistemi skrzydłami, cicho i szybko przelatują one z jednego kwiatka na

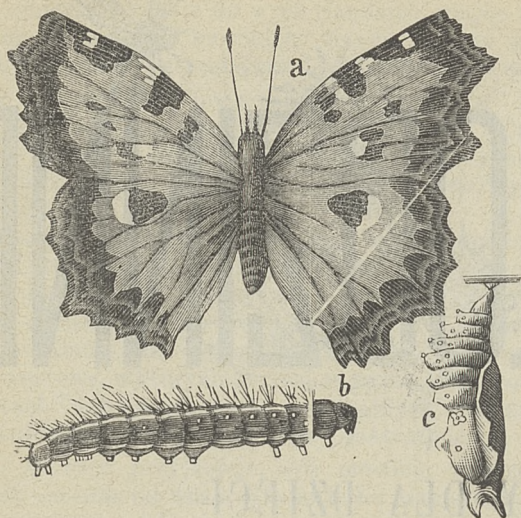
drugi i, rozkręcając swój długi smoczek, wysysają nim parę kropel słodkiego płynu. Motyle dodają nieopisanego uroku kwiecistej łące, zachwycają i usposabiają przychylnie dla siebie każdego. A jednak nie są to wcale tak niewinne stworzenia, jakby się mogło wydawać na pozór. Gdyby tak zestawili razem wszystkie owady, pod względem ich szkodliwości dla roślin, motyłom przypadłoby jedno z najpierwszych miejsc.

Tak, szkodniki to wielkie, chociaż właściwie nie one same. Bo te parę kropel słodkiego soku które wysysie motyl, nie zubożą rośliny, a zresztą sok ten dla nich właśnie jest przeznaczony. W zamian za pobrany pokarm, motyl przenosi pyłek z jednego kwiatka na drugi, jest więc raczej korzystnym dla rośliny. A nawet gdyby i sam był szkodnikiem, nie mógłby jej wyrządzić wielkiej krzywdy, za krótko bowiem żyje. Ale za to w ciągu tego czasu składa on jajka, z których później lęgną się żarłoczne liszki.

To dopiero niszczytelki roślin. Każda, uzbrojona silnemi szczękami, zabiera się wnet do liści i zaczyna je objadać, poczynając od brzegu. Odrazu można poznać, czy liść został uszkodzony przez gąsienicę czy przez inny owad, gąsienice bowiem zjadają go zawsze w kierunku od brzegu do żyłki środkowej, pędraki zaś żuków rozmaitych i same żuki wygrzyzają w liściach dziury. Dla liścia wszystko to jedno, naturalnie, kto go zje, ale dla człowieka, poszukującego szkodników, pożytecznem jest wiedzieć, który tu z nich był na liściu, aby go łatwiej mózdz wyszukać. A nie sądzmy, że wszystkie liszki spędzają cały czas na liściach: podjadłszy dobrze, niejedna z nich opuszcza go i kryje się gdzieś w szczelinach kory albo w ziemi między kamieniami, mchem.

Są one tak żarłoczne, że mogą ogołocić z liści nietylko krzaki, ale nawet i drzewa całe, żadna więc z nich nie jest gościem pożądanym w ogrodzie, każda zasługuje na tępienie. Dość, że jest gąsienicą: już to jedno obciąża ją dostatecznie. W niniejszym artykułiku zabierzemy znajomość z temi z nich, które zamieszkują sady i niszczą drzewa owocowe. Poznamy przytem naturalnie i same motyle. Znając je i wiedząc, gdzie składają jajka, będziemy mogli znaleźć te ostatnie i zniszczyć, nim się z nich wylęgną gąsienice.

Z pomiędzy dziennych, (t. j. latających w dzień) motyli, należy zwrócić uwagę na tak zwaną rusałkę wielką, którą



widzimy na załączonej rycinie. Motyl to ładny, jak wszystkie rusalki, barwy pomarańczowo brunatnej z czarną obwódką na brzegach skrzydeł i kilku czarnymi plamami na ich górnej powierzchni. Zimą spędzają one w odrętwieniu ukryte za odłamami kory, w szparach jakiego budynku i t. p. miejscach; a, jak tylko zrobi się ciepło, budzą się ze snu zimowego i zaczynają latać. Dlatego to rusalki należą do motyli, które wcześniej można zobaczyć na wiosnę, zazwyczaj już w kwietniu. Ale fruwa ich niewiele: te bowiem tylko przezimowały, które potrafiły ukryć się tak dobrze, że ich nie dosięgły i nie zabiły ostre mrozy.

Stare to już motyle, bo kilka miesięcy życia liczące; pamiętają one zeszłoroczną jesień, a może i lato, te staruszki między motylami. Wszystkie motyle, które ukazują się wcześniej na wiosnę, są takimi samymi staruszkami które przezimowały. Jeszcze wcześniej, niż rusalki ukazują się wielkie motyle powszechnie znane żółte cytrynki, oraz rusalki małe, ładniej ubarwione od wielkiego, bo mają skrzydła brunatno czerwone z szafirowymi plamkami. Motyle te bywają radośnie witane, gdyż latają wtedy, kiedy w ogóle niewiele jeszcze widać owadów.

Nie żyją one już jednak długo: pofruwają, pofruwają parę tygodni i gdzieś znikają; nowe, młode ukażą się dopiero w lecie. Stare nim zginą, składają paręset drobnych jajek: rusalki małe na liściach pokrzywy, wielkie, na gałązkach drzew owocowych: gruszy, jabłoni, wiśni. Każdy tam, gdzie jego gąsienica znajdzie odpowiedni dla siebie pokarm. Nas obchodzi w tej chwili jedynie rusalka wielka.

Ze złożonych przez nią jajek lęgną się wkrótce liszki czarno-brunatne z trzema złotymi pręgami na grzbiecie i ostrymi żółtawymi włosami na całym ciele. Takie kosmate gąsienice wzbudzają zazwyczaj obrzydzenie i bywają uważane nieraz za jadowite. Wiele osób boi się wprost wziąć je do rąk. Tymczasem jadu nie mają one żadnego, ale za to włoski tak tych, jak i innych kosmatych gąsienic, zawierają w sobie kwas mrówczy, ostry, gryzący płyn, taki sam, jaki wypuszczają z siebie mrówki. Jeśli kto, biorąc nieostrożnie gąsienicę do ręki, odłame koniec włosa, tryska zeń parę kropel tego kwasu, powodując nieprzyjemne pieczenie. Jedyna to broń tej gąsienicy, chroniąca ją od wielu wrogów: nie każdy bowiem ptak owadożerny, zjadający ze smakiem nagie gąsienice, może strawić kosmatą. Nie zabezpieczy to jej jednak od dzioba kukulki, która takimi właśnie najchętniej

się żywi. Gąsienice rusalki wielkiej objadają liście i końce młodych pędów drzew owocowych, a że przebywają zwykle gromadami tam, gdzie zostały złożone jajka, wyrządzają więc znaczne szkody. Przedewszystkiem więc należy starannie wyszukiwać i tępić jajka, a następnie nie darowywać i samym gąsienicom. Gąsienice te przemieniają się po pewnym czasie w poczwarki kosmate z wyrostkiem na grzbiecie, które wiszą głową na górze, przyczepione końcem odwłoka do gałęzi. Z poczwarki w lecie wylatuje motyl. Rusalki wielkie zobaczyć można będzie znów w lipcu; latają one aż do jesieni, po czym znaczna część ginie, mała zaś ukrywa się gdzieś w zakątkach, aby znów na wiosnę złożyć jajka. Przez lato i jesień nie robią one żadnej krzywdy roślinom, strasznymi są jedynie na wiosnę ich kosmate gąsienice, które objadają drzewa owocowe i za siebie, i za poczwarki i za dorosłe motyle.

Gąsienice rusalki ukazują się na drzewach dopiero wtedy, gdy się już lato zaczyna zbliżać; wcześniej zobaczyć można na liściach wisien, śliw i głogu inne straszniejsze od nich gąsienice, mniej kosmate, czarne z brunatnymi podłużnymi pręgami, a od spodu popielate. Są one teraz tłuste i spalone, aż się lśnią; i niedarmo, objadły już bowiem sporo liści i kwiatów. To jedne z najstraszniejszych szkodników, gąsienice głogowca, białego motyla podobnego do powszechnie znanego kapustnika, a różniące się odeń wybitnymi czarnymi żyłkami na skrzydłach oraz brakiem czarnych plamek i końców.

Kapustniki latają na wiosnę, ale głogowców nie widać, tylko liszki ich pracowicie objadają liście, aż wreszcie ku latu przemieniają się w zielonawe czarnoplamiaste poczwarki, przytwierdzone do parkanów, murów, gałęzi. Z poczwarek już w czerwcu zaczynają wylatywać motyle i latają przez całe lato. Niekiedy zjawiają się w takich ilościach, że, gdy obsiadą drzewo wieczorem na nocleg, sprawia to wrażenie, jak gdyby okryło się ono całe na nowo pięknymi białymi kwiatami.

Motyle te latają krócej od rusalek: w jesieni napróżno byś już ich szukał. Ale za to z drobnych żółtych, jajek, które składają one na górnej stronie liści drzew owocowych, wychodzą w końcu lata gąsienice i zaraz zaczynają objadać liście. Cierpią więc od nich drzewa dwa razy do roku. Gdy nadciąga chłodna jesień, liszki te zabezpieczają się od zimna w ten sposób, że robią sobie gniazda z liści. Zwijają wianowicie kilka ich razem i przymocowują oprzędem do gałęzi, żeby ich nie strąciły wichry jesienne. Każda buduje takie zimowe gniazdko tuż obok gniazodka sąsiadki tak, że tworzy się z tego jedno duże i mocne gniazdo, w którym wszystkie liszki zimują.

Gniazda te rzucają się łatwo w oczy, w zimie na огоłych liściach; i to całe szczęście, gdyż dzięki temu można tępić szkodliwe gąsienice od razu w dużych ilościach.

Jeśli gąsienice dziennych motyli sprawiają wielkie spustoszenia w sadach, to i liszki różnych nocnych oraz wieczornych motyli, zwanych pospolicie dla odróżnienia od dziennych, ćmami, nie zasługują na lepszą opinię. Same ćmy spędzają całe dnie, ukryte gdzieś w szparach, przytulone do kory drzew, od której prawie nie odbijają swymi skromnymi, najczęściej szaremi barwami. Latać zaczynają dopiero, gdy słońce zajdzie: wówczas wyfruwają najpierw hałaśliwie z ukrycia różne zmierzchnice, najmniej unikające światła, i zawieszane w powietrzu, zapuszczają swą długą trąbkę do środka

kwiatów, wypijając nią słodki sok. Po nich, gdy się bardziej ściemni, zaczynają latać grube, włochate sówki, rozmaite prządk i wiele innych.

Ale w dzień ich nie zobaczymy. Tępienie więc samych motyli jest rzeczą dość trudną: gdzie ich bowiem szukać w dzień? Łowy można odbywać jedynie w nocy, zaopatrując się w latarkę, do której ćmy zlatują się gromadami. Zresztą same ćmy mają pewne zasługi wobec roślin, przenosząc one mianowicie pyłek tych kwiatów, które rozwijają się jedynie w nocy i bez nich nie mogłyby być zapylone. Bez względu więc ich potęgować nie można, ale gąsienice za to! To bezwarunkowe szkodniki, częstokroć gorsze jeszcze od gąsienic dziennych motyli.

(d. n.)

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Cały dzień upływał im na rozmowach, bo obaj z natury byli dość gadatliwi. Kiedy zaś karawana zatrzymała się na nocleg, Abel uprawiał się w rzucanie bumerangiem i niebawem uczynił zadziwiający postęp w tej trudnej sztuce.

Pod wpływem zetknięcia z Morborą, w młodym studencie odezwał się nagle pociąg do życia na łonie natury, stłumiony przez długoletnie obcowanie z białymi. Zmiana ta nie uszła uwagi Dugana i Jerzego.

— Jak widzę, pobyt w pustyni nabiera dla ciebie uroku, — rzekł doń pan Artur pewnego rana.

— Oh, tak! — odparł żywo Abel — powiedz sam, mój ojcze, czy istnieje coś piękniejszego i wspanialszego nad ten skrub, urągający potędze człowieka, nad te niezmierzone stepy!

— Nie wiem doprawdy, jak mogłeś dopatrzeć się powabu w tych przeklętych pustkowiach! — wybuchnął Jerzy. — Co do mnie, radbym wydostać się stąd coby prędzej.

— Nie znasz się na tem — mruknął niechętnie Abel.

— Bo nie jestem murzynem.

— Ha, być może...

Młody Hundleton nie szczędził przycinków swemu towarzyszkowi, jak przyjaźń, okazywana tak wyraźnie Morborze, budziła w nim coś, niby zazdrość, albo raczej upokarzająca go.

— Jakto, ten wykształcony chłopiec, wychowany od dzieciństwa u jego wuja, przebywający tyle lat wśród inteligentnych ludzi, woli jakiegoś tam dzikiego, aniżeli jego? Kiedy tak, to i owszem; jest jeszcze doktor Halm i poczciwy Bob, z którym zawsze można porozmawiać o ciekawych rzeczach.

Pomimo wszystko, Jerzy dotrzymywał nadal towarzystwa przyjacielowi, a nawet z czasem zaczął brać udział w pogardzanych niedawno ćwiczeniach z bumerangiem.

Karawana posuwała się wolno wzdłuż skrubu, upatrując, rychło li on ustąpi miejsca piaskom, które dostrzegł Jerzy z wierzchołka drzewa. Upłynęło jednak dwie godziny na daremne oczekiwaniu.

— Radzę ci, wuju, każ zawracać! — powtarzał od czasu do czasu chłopiec; — inaczej nigdy nie wydostaniemy się na wolną przestrzeń.

Dugan zwlekał, ale w końcu zdecydował się tak uczynić, tembardziej, że z napotkanego po drodze pagórka, na

własne oczy przekonał się o słuszności rady, podawanej przez Jerzego.

— Ha, kiedy tak, to zabierzmy się do przerąbania ścieżki! — rzekł; — uprzedzam jednak, że robota to zmutna i utrudzająca. Daj Boże, abyśmy się z nią uporali w dwa dni.

— Jestem pewien, że damy radę — odparł ochotczy chłopiec; — zobaczysz, wuju, jak będę rąbał ten przeklęty skrub!

Zawrócono tedy, i sam Dugan, wdrapawszy się na drzewo, uważnie rozpoznał okolicę przy pomocy lunety.

Jerzy miał rację; należało tylko przebić się przez wązki stosunkowo pas zarośli, poza którym widniały rozległe diuny piaszczyste.

Obrawszy najdogodniejszy punkt, pan Artur wydał rozkaz rozbicia namiotu pochodowego, i rozjuczenia wielbłądów.

Bob i Tom zabrali się skwapliwie do tego, bo i im także znudziła się wędrówka wzdłuż skrubu.

— Będziemy pracowali na zmianę, — rzekł Dugan; — ty Bob z Jerzym bierzcie siekiery i marsz; oto busola, trzymajcie się, jak najściślej zachodniego kierunku; jeden niechaj rąbać krzaki, a drugi będzie je uprzętał; po dwóch godzinach zastąpi was Tom z doktorem.

— Ja chcę ciąć! — zawołał chłopiec.

— Zgoda, — mruknął Bob, uśmiechając się; — tylko wiem, że panicz nie wytrzyma długo.

— Oho, zobaczysz!

Rzekłszy to, Jerzy, z dobrze wyostrzoną siekierą zbliżył się do splełanych krzaków i z całym zapalem wziął się do pracy.

Pod silnemi i wprawnemi razami, pierwszy krzew legł niebawem na ziemi i Bob, kiwając głową, odcignął go na stronę.

— Teraz to jeszcze nic, — rzekł; — niech panicz rąbać dalej.

Drugi krzak, stojący głębiej, stawiał już silniejszy opór siekierze, ostrze z trudnością imać się twardej, szklistej kory i żyłatego, sękatego drzewa; kiedy nakoniec pień uległ, Jerzy nie wiedział, jak usunąć krzak, który trzymał się mocno pokrzywionemi gałęziami sąsiednich drzewek. Trzeba było przerąbywać je po kolei, wciskając się pomiędzy koleczaste łodygi; upłynął też dobry kwadrans, zanim chłopiec, wspólnie z Bobem, zdołał wyciągnąć na otwarte miejsce uparty krzak skrubu.

— A co? — rzekł stary poszukiwacz złota; — teraz zaczyna iść trochę trudniej.

— Nie obawiaj się, mój pocziwce, — odparł kwaśno Jerzy; — dam sobie radę i bez ciebie.

— Ho, ho! jaki pan hardy; a oto paluszki już, jak widzę, pokaleczone.

Jerzy nie odpowiadając, z zaciękością rzucił się na trzeci krzak; najprzód poobcinał gałęzie, następnie zaś dopiero zabrał się do głównego pnia. Dugan, Abel i doktor przypatrywali się ciekawie jego robocie, dodając mu odwagi.

W miarę jednak, jak Jerzy zagłębiał się gąszcz, ścinanie rozłożystych, powikłanych krzaków stawało się coraz trudniejszym; można było rąbać tylko z jednej strony — z frontu; chcąc zaś posunąć się w lewo lub w prawo, chłopiec musiał wprzód przez kilkanaście minut obcinać gałęzie, tamując mu swobodę ruchów. Ostatecznie drzewko zawsze się trzymało tylnemi, niedostępnymi dla topora konarami i nie dawało się ruzyć z miejsca; dopiero Bob wpadł na myśl, żeby wyciągać je liną, przy pomocy koni.

W ten sposób robota szła trochę prędzej.

Jerzy, wobec tych wszystkich trudności, tracił powoli pierwotny zapał. Nie rzucał jednak siekiery, gdyż postanowił sobie, bądź co bądź, wytrwać na stanowisku. Po dwugodzinnej uciążliwej pracy, wspólnie z Bobem i przy pomocy konia, wyrąbano zaledwie dziesięć kroków ścieżki, tak wąskiej, że wielbłąd z trudnością mógł się nią przecisnąć.

Rezultat ten nie był wcale zachęcającym. Dugan obliczył na oko, że przerąbanie przejścia przez skrub miało za-

TYPY GRECKIE.

Kobiety z Argos, Megary i Koryntu.

zając cały tydzień czasu; wobec tego należało dobrze się namysleć, czy prowadzić dalej rozpoczęte dzieło.

Złożono więc naradę, na której główną rolę, odgrywał, rzecz prosta, Morbora.

— Jak sądzisz, — zagadnął go Dugan; — czy nie lepiej obejść skrub, zamiast torować sobie przezeń drogę?

— Niewiadomo, gdzie się kończą krzewy, które tamują pochód, dla tego nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— A zatem idź i zobacz; jeżeli nie znajdziesz przejścia przez jutro i pojutrze, to wracaj; my tymczasem będziemy rąbali skrub. Być może, iż te przekłete krzewy skończą się gdzie w pobliżu.

Morbora długo nie chciał słuchać o tym projekcie. Tłumaczył się, że zabłądził, albo zginie z pragnienia w pustyni, gdzie niema wody; głównie zaś obawiał się spotkać z jakim obcem pokoleniem, gdyż w takim razie, zabito by go niechybnie i zjedzono, za to, iż przekroczył granice swego terytorium. Należy bowiem wiedzieć, że dzicy australscy pilnie przestrzegają, aby nikt, nie należący do szczepu, nie polował na ich gruntach; cały ląd jest podzielony na obwoły, z których każdy ma właścicieli, zazdrośnych o swe prawa. Były to jednak wykręty, Dugan bowiem nie wątpił, że Morbora z łatwością uniknie tych wszystkich niebezpieczeństw; obiecał mu więc, w zamian za posługę, dwie garści tytoniu, co w jednej chwili usunęło przewidywane trudności.

Dziki oświadczył, że jest gotów wyruszyć w drogę nazajutrz rano, jeżeli otrzyma dostateczną ilość wody i żywności. Rzecz prosta, że pan Artur chętnie uczynił załość temu żądaniu; wiedział jednak doskonale, że Morbora załatwi się w jednym dniu z zapasami i potem będzie żył w drodze swoim przemysłem. W ogóle dzicy nie pojmują, jak można się troszczyć o jutro, a tembardziej przechowywać to, czego mają w danej chwili nad potrzebę. Często też chorują z przejedzenia i mrą głód naprzemiany.

Noc przepędzono spokojnie; nikt bowiem nie mógł napaść na karawanę w tych strasznych pustkowiach, nieodwiedzanych przez ludzi i unikanych przez zwierzęta. Głucha, śmiertelna cisza wisiała ciągle nad morzem skrubu.

O świcie Dugan wyprawił w drogę murzyna, zalecając mu pośpiech, poczem przystąpiono znów do trzebienia krzewów eukaliptusowych i akacyowych.

Pracowano bez najmniejszej przerwy przez cały dzień. Owocem tych usiłowań była ścieżka na 60 kroków długa i wysoki stos gałęzi, które, po wysuszeniu na gorącym słońcu, dostarczyły nieosobliwego paliwa na ognisko.

Pierwsza partya karczowników składała się z Toma i doktora. Entomolog nie umiejąc władać toporem, zajął się wywłóceniem drzewek, zrąbanych przez towarzysza; zapręgał siwka do rosochatej akacyi, i poganiał go długim prętem eukaliptusowym.



Typy greckie.

Ileż to wspomnień dziejowych, łączy się ze starożytnymi imionami: Argosu, Koryntu i Megary, z których pochodzą niewiasty przedstawione na naszej rycinie.

Sama Argolida, czyli Argeia grecka, obejmowała niegdyś całą wschodnią część Peloponezu i dzieliła się na królestwa: Argos, Megary, Tyrenty, Hermiony i Epidamos i była ojczyzną wiekopomnych bohaterów. W niej urodził się mężny Herkules uważany za pół boga i prześladowca jego Eurysteusz, oraz najsławniejsi przywódcy wojny Trojańskiej: Agamemnona, Adrast i Dyomedes, skutkiem czego

Homer w swojej Iliadzie wszystkich Hellenów nazywa ogólnie Argiwami. A wojownicze to plemię odznaczało się od wieków, nietylko męstwem i siłą, ale zarazem rzadką pięknoscią mężów i niewiast, uwydatniającą się szczególnie przy ich malowniczym narodowym stroju, a jakkolwiek owe starożytne chlamidy, chiton, peplosy i kaliptry, w długim przebiegu wieków, pod wpływem wzrastającej cywilizacji, musiały ulegć odpowiedniej reformie, stanowią one jednak dotąd pewną oryginalną cechę, wyróżniającą Greków, od innych narodowości.

Z jakimże to wdziękiem i rodzajem dumy, kobieta z Argos, zarzuciła na głowę tradycyjną kaliptrę, a długi aż po kostki himation przepięła pasem, choć może nawet ani zasłyszała o Plutarchu, który świadczy, iż był jeden dzień w roku, gdzie mężczyźni z Argos przywdziewali suknie kobiece, pozwalając natomiast niewiastom ubierać się w swoje tuniki i chlamidy. Była to piękna uroczystość narodowa, ustanowiona dla uczczenia zasług mężnej Telesilli, która na czele godnie

go siebie zastępu kobiet, ocaliła miasto Argos od napaści Kleomenesa, króla Sparty.

Stojąca dalej kobieta z Megary, dość nędznej mieściny, dawniej zaś sławionej odrębną szkołą filozofów, nosi ubiór niezmiennie do poprzedzającego podobny, oprócz małej różnicy zachodzącej w długości himationu.

Nieco więcej wymyślonym jest strój kobiety ze starożytnego Koryntu, której peplos z kołnierzem otwartym z przodu, układa się w dziwne fałdy powyżej ramion, mając rękawy zakończone szeroką falbaną.

Himation jej prawdopodobnie jasny, ozdobiony u dołu szlakiem z greckiego haftu; pas spinają dwie okrągłe wystające kłamry, a kaliptra jest ułożona w mniej malowniczy sposób, jak u dwóch poprzednich kobiet.

E. L.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNE MORAWSKA.

(Dalszy ciąg).

Jakkolwiek w przełomach skał rosły obficie sosna, buki i jesiony, niemało jednak mieli obadwaj trudu nim zrąbali siekierką, którą miał zawsze Mirko przy boku, dostateczną ilość gałęzi, które jako mokre, nie od razu obejmował ogień. Po długich trudach już pod wieczór ogień buchał wielkim płomieniem. Ogarnęli go dokoła i opodal nieco na przełomie skały do snu się ułożyli. Babula tylko zadowolona, że ogień tak rażno się pali, położyła się nieco bliżej. Wpatrywała się nawet w jego blaski czas jakiś, ale wkrótce i ona zasnęła.

Nad ranem kamień się rozgrzał prawie do czerwoności a woda w nim wrzeć zaczęła, wydając z siebie bardzo nieprzyjemny odór, który tak babulę jako i śpiących zdala rozbudził.

Ze zdziwieniem dojrzeli, że na powierzchni wody wrzającej zbierać się zaczęły małe białe krupki, które pokryły się cały zrąb kamienny.

— Oj, toć to istne czary! — mówiła z przestachem babula.

A odsunawszy się nieco, przeżegnała się pobożnie. Bogum patrzył z podziwem, lecz nie przestraszył się tego zjawiska; wierzył bowiem, iż cokolwiek strzelec uczyni, musi to być dobrem i pożytecznem. Mirko zaś w zamysleniu spoglądał na parującą wodę i skraplającą się sól na jej powierzchni, a radość niezwykła błyszczała na jego twarzy.

Niejednokrotnie już spostrzegał te małe białe kryształki, zwłaszcza po dniu bardzo upalnym widział je na kamieniach, na które zwykle ściekała woda, w takiej jednak jak teraz ilości, pierwszy raz je ujrzał dopiero.

— Sól, sól, najwidoczniej sól z tej wody się wygotowuje! — powtarzał Mirko zapatrzony w omszałą białą powłoką kamień.

— Sól? — powtórzyła babula, a pokonawszy strach za bobonny, wzięła ze zrąbu kamienia małą szczyptę kryształków i dotknęła jej językiem.

— Sól, jak mi Bóg miły, sól! — powtarzała, mlaskając łakomie.

— Oh, dajcie mi szczyptę, zaniosę ją nad jezioro, powiem, że to mój Bogum przysłał w podarunku rybakom — rzekła, patrząc z pewną chciwością na śnieżną powłokę kamienia.

— Weźcie babulo ile chcecie, ale nie opowiadajcie jeszcze o naszym odkryciu — rzekł strzelec.

— Przyjdzie czas, zawezwiemy ich do pracy, a krople

ciekące ze skały i sól biała będzie dla nich źródłem wielkiego bogactwa — dodał poważnie.

Babula spojrzała ciekawie na mówiącego; porozumiewając kiwnęła głową i rzekła:

— Będę milczała, oho będę, boć to bogactwo Boguma.

Babula zaś nie myśląc już o niczem, chowała skrzętnie otrzymaną szczyptę soli.

— Aleć mi tę sól pozwolicie zanieść nad jezioro? — spytała za biegiem swych myśli.

— Idźcie, a jako umiecie, nawołujcie do pracy a przygotujcie ich, iż gdy do tej pracy wezwiemy, ażeby chętnie do niej pospieszyli.

Stara podniosła rękę do góry a spojrzawszy swemi rozumnymi oczyma, rzekła:

— Ho, ho! wiem ja co powiedzieć.

— Idźcie, idźcie więc babulo — rzekł strzelec — wkrótce z Bogumem przyjdziemy tam do was i dobre przyniesiemy wieści. Wam trzeba wypoczynku w chacie, a Bogum wśród tych źródeł do reszty ozdowieje.

Babula skinęła ręką, objęła głowę swego wychowawcy i przytuliła ją do piersi. Potem poczęła schodzić z gór z taką szybkością, jakby na szczytach co najmniej połowę swych lat złożyła. A siły te znać jej dopisywały, bośmy ją widzieli rzeźką i odmłodzoną pośród rybaków, którzy tej rzeźkości dosyć wydziwić się nie mogli.

Bogum długą chwilę siedział zamysłony, wpatrując się w dogasające ognisko, potem zaś wyszeptał jakby do siebie:

— Co mi po wszelkiem bogactwie, co mi po wszystkim, ja tylko rodziców pragnę odnaleźć!

Szept ten usłyszał lub raczej odczuł Mirko i rzekł:

— Jest to i mojem najwyższem pragnieniem.

— Więc rzuciemy te góry i chodźmy ich szukać — zawołał młody Hofstein, z gorącością wiekowi swemu właściwą.

— Chwili jednej nie straciłbym na siedzeniu beczynnem, lecz trudno szukać ich śladów po szerokim świecie — odparł mu strzelec.

— Wszak mówiłeś, że ojciec mój poszedł na wojnę, pójdźmy więc za nim.

— Tak, ale wojna wrzała w rozmaitych stronach a niewiedzieć w której walczył twój ojciec, wszak ci to już mówiłem, iż zeszłego roku zszedłem wszelkie szlaki, kędy ciągnęły rycerskie zastępy i wszędzie usłyszałem, iż zapewne inną poszedł drogą...

— Więc przejdę wszystkie te drogi i szukać go będę! — przerwał Bogum zapominając, iż nie znał ani oblicza swego ojca, ani też nawet swego nazwiska.

Uśmiechnął się na to strzelec i rzekł:

— Wojna się już skończyła a rycerze do zamków swych wracają; jak tylko usłyszymy o powrocie którego z nich, pójdziemy rozpytać się o twego ojca.



Ukazujących się na balkonie artystów witają rzesistemi oklaskami. (s. 165)

— A może i on z tem rycerstwem powróci — zawołał Bogum, czepiając się rzuconej myśli.

— Niechybnie, że tak będzie, a my przy pierwszym spotkaniu wskażemy mu nasze odkrycie i źródło nowych bogactw — rzekł Mirko.

W myśli zaś dodał:

Zastąpią mu one zabrane przez Siebenhausu skarby, lecz nie zastąpią utraconej małżonki!

I znów powtórzył to, co zwykle sobie powtarzał:

— Ale co się z jej ciałem stało!

XIII.

W Y R O K.

Robert Hofstein zrozpaczony próżnem poszukiwaniem swej małżonki i syna, pospieszył do Salzburga, gdzie z pozbieranych wieści, tem więcej się upewnił, że sprawcą jego nieszczęść nie był kto inny, jak nienawistny mu oddawna Siebenhaus.

— Gdziekolwiek jest ten zbrodniarz, niechaj mi krwią swą zapłaci za krew mego syna i ukochanej małżonki, niewinnie przelaną — zawołał.

— Śmierć niechaj mu będzie! — dodał nieodstępny jego przyjaciel Gemen.

— Śmierć, po stokroć śmierć! — krzyknęli towarzysze otaczający strapionego Hofsteina.

Fehmgericht! — zawołał jeden z baronów, z którym się Robert spotkał na dworze biskupim w Salzburgu.

Fehmgericht! — powtórzyli inni.

— Tak, Fehmgericht! — rzekł biskup Gregorius. — Zbrodnia i bezprawie musi być karana w tym i w przyszłym życiu — dodał poważnie.

Trzykrotnie powtórzony wyraz „Fehmgericht” był według ustawy hasłem do zwołania sądu. Sądy te właśnie w początku XIV w. powstały i z całą gorliwością były pełnione. Wśród ogólnych walk, rozterek wewnętrznych, podczas bezkrólewia i obioru nowego cesarza, sądy takie miały wielką doniosłość; ukrócały bowiem swawolę i samowolę tych, którzy dotąd bezkarnie na cudze dobro czyhali.

Członkiem zaś sądu tajemnego mógł być tylko taki, którego zacność i szlachetne postępowanie, uznane było przez należących już poprzednio do stowarzyszenia.

Ojciec Roberta od pierwszej chwili zawiązku tych sądów, należał do stowarzyszenia, Robert również był sprysiężonym, miał więc wszelkie prawo, aby w jego obronie zwołano posiedzenie, krzywdy jego poszukiwano a na winnego jak najsurowszą wymierzono karę.

Niezwłocznie więc rozesłano wieści do wszystkich znanych im członków wzywając, aby na dzień oznaczony przybyli do Salzburga, Gemen jako sekretarz stowarzyszenia i przyjaciel Roberta zajął się wyszukaniem pieczary, w którejby sąd według ustawy i zaprowadzonego zwyczaju, mógł odbyć swoje posiedzenie.

Pieczar takich około Salzburga i w całym pasmie gór otaczających miasto nie brakło. Chodziło tylko o wybór takiej do którejby przystęp był najmniej widoczny

— Może szukając pieczary, trafię gdzie na ślad twego syna lub małżonki, szlachetny Robercie — rzekł, podając mu rękę na pożegnanie.

Robert smutnie się uśmiechnął, lecz jak tonący który czepia się najwęższego źdźbła sędząc, iż mu ono życie ocali, tak Hofstein przylgnął do rzuconych przez przyjaciela wyrazów. Jakaś nieznana mu dotąd otucha wstąpiła w jego zbolące serce i teraz oczekiwał tylko z podwójną niecierpliwością powrotu przyjaciela.

Gemen tymczasem przybrany w strzelecką odzież piął się po górach, lecz dzień cały zeszedł mu a nie znalazł właściwego na zebranie sądów tajemnych miejsca. Gdy po przepanej pod gołym niebem nocy zbudził się, aby na nowo wśród skał poszarpanych się rozejrzeć, zaleciał go dym i jakiś wyziew cuchnący.

Zaciekało go to zjawisko, a wieści o czartach i czarownicach wyprawiających harce w podziemiach lub na niedostępnych szczytach stanęły mu na myśli w całym swoim uosobieniu.

Jakkolwiek Gemen był rycerzem niepośledniej miary, wiara jednak w przebywanie czarownic wśród górskich rozpadlin, była w owym czasie tak ogólną, że i rycerze nie gardzili nią z tą tylko różnicą, że wielu z nich radziłyby naocznie o siedlisku złych duchów się przekonać a nawet stanąć z nimi do walki.

I Gemen więc jako wierny chrześcijanin, mając znak krzyża świętego ku swojej obronie, rad był nieledwie takiemu spotkaniu i śmiałym krokiem począł piąć się w kierunku, skąd dym cuchnący do niego dochodził.

Jako zaś odważnego ducha i śmiałej prawicy rycerz, mówił sobie:

— Czarownice i dyabłów krzyżem świętym pokonam, a biskup Gregorius egzorcyzmy w ich siedlisku odprawi a miejsce ich pobytu, może być doskonałym miejscem zebrania sądów tajemnych.

Po niejakiem czasie wyziewy stawały się coraz więcej duszące, a z pomiędzy wlokącego się po szczytach dymu ujrzano wytryskające płomienie.

— Oho, gotujmy się do walki! — pomyślał sobie i na wszystkie cztery strony zakreślił znak krzyża świętego.

Lecz dym nie rzedział, zapach siarki się nie ulotnił a płomień stawał się coraz wyraźniejszym.

Strach ogarnął Gemen, ducha jednak i odwagi jak na rycerza przystało nie tracił.

Wtem doszedł go odgłos pieśni, której wyrazów wprawdzie rozróżnić nie mógł, ale której dźwięki były tak poważne i piękne, że żadnym sposobem nie tylko nie mogły być chórem czarownic lub mieszkańców piekła, lecz przeciwnie pieniem modlitwy wypływającej ze szczerem westchnieniem ku niebu.

(d. c. n.)

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Organa te, jakkolwiek różni je sposób traktowania rzeczy, nie są dotychczas wrogo sobie usposobione, przeciwnie odczuwa się w nich nawet wzajemną uprzejmość w drażliwych dla obu stron kwestiach. Czy jednak stosunek taki będzie długotrwałym, trudno przesądzać. Któż bowiem odgadnąć zdoła żywioły interesów lub miłości własnej obudzą się z biegiem czasu wśród tej ludności, której wystarcza jeszcze obecnie używanie w całej pełni wygodnych warunków życia na „Cudownej wyspie.”

Obok tych dwóch dzienników istnieje nadto w Miliard-City znaczna liczba przeglądów, tygodników z ilustracyami lub bez, kuryerków brukowych, a nawet pism humorystycznych drukowanych masą czekoladową na kartkach wyrobionych ze słodkiego ciasta, tak, iż po przeczytaniu lekkich dowcipów i wiadomości bieżących, można zjeść je całkowicie zamiast bułeczek do kawy, lub do herbaty. Co więcej, niektórzy z nich zaprawione są niewinnymi środkami działającymi zbawiennie na osłabione żołądki, lub brak apetytu.

— Oto „lektura” najłatwiejsza do strawienia — zauważył z całą słusznością Yvernes.

— I pożywna w dodatku — odpowiada Ponchard. — Ciastka i literatura połączone razem tworzą zaiste znakomite „pendant” do zastosowanej tu muzyki higienicznej!

Rozglądając się w około i poznając coraz lepiej stosunki miasta, którego stałymi zostali gośćmi, paryżanie nasi zastanowili się niebawem nad kwestyą, z jakiego to olbrzymiego źródła czerpane są sumy, które pochłaniać musi administracja miasta i utrzymanie wszystkich tych wyszukanych dogodności, z jakich korzysta ogół mieszkańców Standard-Island.

Zapytany w tym względzie Kalikstus Munbar, odpowiedział.

— Rozumiecie panowie to dobrze, że sam charakter założenia tej wyspy nie nadaje się, do rozkwitu handlu lub przemysłu jakiego. Nie mamy więc tu żadnych fabryk, żadnych przedsiębiorstw; nie istnieje tu nawet giełda, nie mamy również zamiaru rzucać się na spekulacje w rodzaju wystaw powszechnych, takich World's-Fair, jakie urządziło Chicago w 1893 roku.

Gdy więc sprawy wszelkich interesów i operacji pieniężnych dalekiemi są od naszego zakątka ziemi, od komory celnej żądamy, by dostarczyła potrzebnych w zarządzie funduszy.

— A do jakich cyfr dochodzi suma tych wydatków?

— Do dwudziestu milionów dolarów, moi najmiłsi — odpowiada pan Munbar.

— Sto milionów franków — woła zdumiony Fracolin, i to na miasto, liczące zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców!

— Najdokładniejszy stosunek, kochany przyjeźdźco, a więc sumę tę całą dostarczają nam opłaty celne, pobierane od wszystkiego, co tylko bywa dostawiane w portach Tribour Habour i Barbord-Harbour. Pojmiecie też panowie łatwo, że podatek taki musiał podnieść wartość rzeczy każdej do cen nigdzie dotąd niepraktykowanych, że musi tu być droższa wyjątkowa, chociaż względna znowu do kapitału, jakim każdy mieszkaniec Standard-Island'u rozporządzać może.

Tutaj Kalikstus Munbar począł znowu unosić się w pochwałach i zachwycie dla „Cudownej wyspy” i jej stolicy, dla szczególnych przyjemności, jakie człowiek używać może na tym, jakby z obłoków spadłym odłamku planety jakiegś; w tym rajzie ziemskim, gdzie jeżeli kto nie znajdzie zupełnego szczęścia, to dla tego chyba, że go w ogóle niema na świecie.

Mowa prezesa jest jednym hymnem pochwalnym, którym zapraszałby na jakiś koncert wspaniały, zapalony jego impesario:

— Panowie i panie — zdaje się wołać — bądźcie łaskawi wejść do sali, mało już tylko wolnych miejsc zostało. Kto z państwa życzy biletów, proszę przejść do kasy!

Rzeczywiście miejsca tu niewiele, a bilety drogie, oóż to jednak znaczy w miliardowym mieście, gdzie rzuca się milionami, jakby to były skromne jedności tylko.

W dalszym ciągu rozmowy, prezes sztuk pięknych wytłomaczył artystom wiele innych warunków bytu na „Cudownej wyspie.

Co się tyczy szkół, nauka w nich bezpłatna i obowiązująca każdego, kierowaną jest przez zdolnych profesorów, pobierających wysokie pensje ministrów Wielkiej Brytanii. Obok historii i literatury, prowadzone są gruntowne kursa nauk przyrodniczych i matematycznych, obok języków martwych i żywych, wykładaną jest filozofia i nauki społeczne według pojęć ostatnich czasów.

— Przyznać jednak trzeba — dodaje w końcu Kalikstus Munbar, że kształcąca się młodzież nie ciśnie się zbyt na te kursa, że w salach wykładów akademickich pozostaje najczęściej dużo wolnego miejsca. To też, jeżeli pokolenie obecne posiada jeszcze wykształcenie gruntowne, nabyte w kolegiach i uniwersytetach Stanów Zjednoczonych, obawiać się należy, aby u następnego, nie okazał się nieprawidłowy stosunek wiadomości naukowych do rocznych procentów każdego.

— Czy też nie wyjeżdżają nigdzie mieszkańcy pływają-

cej wyspy, czy nie ulegają ogólnemu zwyczajowi zwiedzania nieznanych krain i miast lądów stałych, gdzie cywilizacja przeszłości zostawiła nam w spadku wiekopomne swe dzieła? pyta Yvernes.

— O, niezawodnie! Mamy wielu takich, którzy wiedzeni ciekawością, puścili się w podróż po lądach stałych obydwóch półkul świata. Zmęczeni jednak, a nawet znudzeni wracali do nas co prędzej. Dokuczało im tam bowiem zbyt zimno, lub gorąco, ulegali zaziębieniom, katarom, czego my tutaj nie znamy wcale.

— A cudzoziemców, bawiących na waszej wyspie, czy znaczną jest liczba?

— Bardzo małą, jak dotychczas — objaśnia Kalikstus — i sądzę, że nie powiększy się nigdy zbyt znacznie. Pomiędzy tymi, którzy nas w przeszłym odwiedzali roku, znajdowali się przeważnie Amerykanie; zauważyliśmy jednak kilku Anglików, noszących stale gumowe płaszcze i parasole, jak gdyby byli jeszcze w Londynie, gdzie deszcz może ich lada chwila zmoczyć. Zresztą Wielka Brytania nieprzyjaznem patrzy okiem na nasz dziewiąty cud świata, jeżeli za ósmy, zdaniem niektórych, przyjmijemy wieżę Eifel; mamy, podług ich widzenia rzeczy, przeszkadzać prawidłowej żegludze i zdaje mi się, że ucieszyłoby ich niezmiernie jakoweś nagłe zniknięcie naszej wyspy.

Co do Niemców, tych znowu sami niechętnie widzimy, są to bowiem ludzie, którzyby w prędkim czasie zamienili Miliard-City na drugie Chicago, gdyby im tylko wolno było rozgospodarować się u nas, jak zwykli czynić wszędzie. Z największą życzliwością witamy zawsze braci waszych Francuzów, gdyż pewną jest rzeczą, że naród ten nie ma w swym charakterze upodobań zaborczych.

— Żaden jednak z nich nie pokazał się dotąd na Standard-Island? — pyta Francolin.

— Nie jesteśmy na to dość bogaci — zauważył Ponchard.

— Aby tu żyć z procentów, być może — odpowiada prezes — lecz nie, aby spełniać jakieś urzędowanie.

— Więc macie tu już choćby jednego współziomka naszego? — bada dalej Yvernes.

— Rzeczywiście, jest jeden tylko.

— I któż jest tym wybranym?

— Pan Atanazy Doremus.

— Czemże się on zajmuje?

— Jest metrem tańca i pięknego ułożenia; pobiera też znaczną pensję stałą, jeżeli pominę dochody, jakie ma z dość licznych, prywatnych lekcji.

— Bo sztuki tej jeden tylko Francuz uczyć może — zawyrokował Sebestyan.

W ciągu pierwszych dni pobytu swego na Standard-Island, Koncertujący Kwartet używał w całej pełni przyjemności, tej zupełnie nowej dla niego żeglugi, bo gdyby nie to że wschód słońca ukazywał się im raz z jednej, to znowu z drugiej strony wyspy, stosownie do kierunku, jaki przybierała, mogliby mieć całkowite złudzenie, że się znajdują na stałym lądzie.

Dwukrotnie wszakże mieli już sposobność podziwiania zbliska wspaniałego widoku burz morskich, które mimo wszystkiego i jakby chciały zadać kłam nazwie olbrzymiego tego oceanu, nawiedzają go od czasu do czasu. Wspięte jednak bałwany, wznosząc się na wysokość kilkopiętrowych domów, kładły się cicho, jakby ubezwładnione u stałowych brzegów wyspy, obryzgując je tylko płatami białej piany.

Wśród tego chaosu w naturze, wśród grzmotów i błyskawic, Standard-Island płynęła równo i spokojnie. Wściekłość oceanu okazała się w obec niej bezsilną; geniusz człowieka zwyciężył przyrodę!

Po dwóch tygodniach zupełnego odpoczynku, dnia 11-go czerwca, artyści francuscy wystąpili z pierwszym koncertem przed publicznością w Miliard-City. Oczywiście, Kalikstus Munbar nie zaniedbał przedstawić ich poprzednio gubernatorowi wyspy i całej radzie municypalnej.

Cyrus Bikerstoff przyjął swych gości z możliwą uprzejmością, serdecznością nieledwie, wspominając o znanym ogólnie w całej Ameryce, a tak zasłużonem powodzeniem Koncertującego Kwartetu.

W kilku też słowach wyraził zadowolenie swe najwyższe panu Munbar, że zdołał zapewnić mieszkańcom wyspy, przyjemność słyszenia i podziwiania zbliżka francuskich artystów, jakkolwiek sposób, jaki do tego zastosował, może nie był zupełnie legalny, ma jednak nadzieję, że zacni Paryżanie chętnie o tem zapomnieć zechcą.

Mimo, że zarząd miasta ofiarował Kwartetowi bajeczne prawie wynagrodzenie za umówione koncerty, nie należy sądzić, że czyni to całkiem bezinteresownie względem mieszkańców Miliard-City. Przeciwnie, Kalikstus Munbar, podobnie, jak owi amerykańscy impesaria, obiecuje osiągnąć sobie na tem zyski. Bo zresztą, jeżeli przyjętem bywa, że na koncercie teatrafoniczne i fonograficzne zwykle dość drogo stosunkowo opłacać trzeba bilety wejścia, to nie zdziwi nikogo, jeżeli na koncert sławnego Kwartetu, jedno krzesło kosztować będzie dwieście dolarów, czyli tysiąc franków.

Jak tylko też pisma miejscowe powiadomiły publiczność o mającym się odbyć koncercie, wszystkie miejsca zostały spieszenie zakupione i gdyby nawet system amerykański urządzenia licytacji na takowe był na Standard-Island przyjęty, nie można ani przez chwilę wątpić, że otrzymanoby w końcu podwójną, a nawet potrójną cenę, biorąc pod uwagę licznych posiadaczy tak olbrzymich fortun, że suma podobna jest dla nich tylko nieznaczającą nic drobnostką.

Wprawdzie bogaci mieszkańcy dzielnicy katolickiej, popieszą do sali koncertowej z rzeczywistego zamiłowania dla sztuki, gdy protestanci uczynią to więcej dla stosunków i pozoru, z obu stron jednak, kasa sprzedaży biletów otrzyma te same rezultaty.

Gdy nadeszła godzina występu, artyści ukazali się publiczności zadowolnieni i pewni siebie, pewniejsi bezwątpienia, jak gdyby im przyszło popisywać się grą swoją przed publicznością paryską, bo gdy tu mają przeważnie tylko uosobienie milionów i miliardów nawet pomiędzy mniej bogatymi, tam znaleźliby niezawodnie dusze, umiejące głębiej odczuć i zrozumieć piękno.

Program koncertu, do którego potrzebnych nut dostarczyła biblioteka, bogato w tym kierunku zaopatrzona przez Kalikstusa Munbara, obejmuje cztery numery, a mianowicie:

Pierwszy Kwartet *Mi be mol.* op. 12 Mendelsolna.

Drugi Kwartet: fa major op. 10 Heydna.

Dziesiąty Kwartet: *ni be mol.* op. 74 Bethowena.

Piąty Kwartet: *la major* op. 10 Mozarta.

Świetne, nie ulegające żadnej krytyce, wykonanie tych arcydzieł, rozlega się wśród towarzystwa miliardowiczów, budząc w każdym słuchaczu niekłamany podziw. Po każdym też numerze, podnosi się burza oklasków, gorąca i pełna zapалу ze strony katolików, więcej umiarkowana i trzeźwa u protestantów, stosownie do wrodzonego temperamentu.

— Jeżeli doznane powodzenie miłem jest artystom, to oblicze Kalikstusa Munbara promienieje takim zadowoleniem, jak gdyby to on sam był przedmiotem owacy, jakby to jego

własne ręce grały równocześnie na wszystkich czterech instrumentach smyczkowych. Czy można się jednak dziwić? Prezes sztuk pięknych występuje dziś w roli impesaria rozporządzających się koncertów, a pierwszy z nich jest jednym z najświetniejszych debiutów.

Podczas, gdy sala w Casino przepelniona jest uważnymi słuchaczami, w około niej od strony ulicy i dziedzińca, tłumy ciekawych słuchaczy cisną się w zbitej masie, bo wielu jest takich, dla których już biletów zabrakło, a niemała też liczba tych, których nie stać poprostu na wydatek tysiąca franków za jedno krzesło na parogodzinny tylko koncert. Jeżeli jednak do uszów tych amatorów dochodzi przytłumiony zaledwie dźwięk muzyki, jeżeli ją słyszą jak ciche echo aparatu fonograficznego, niemniej przeto zapal ich jest rz. czywisty, gdy po skończonym koncercie witają ukazujących się na balkonie artystów rzęsztemi oklaskami.

(d. c. n.)

Do czego może służyć laska?

Nasi czytelnicy widzieli zapewne nieraz laski, które mogły służyć nie tylko do podpierania się lub obrony, lecz zawierały w sobie skrytkę, a w niej bądź to metalowy kubek składany, bądź to sztylet trójkątny, czasem tabakierkę, lub piórnik. Posłańcy warszawscy używają nieraz laski ze składanem siedzeniem, na którym odpoczywają.

Istnieje ogromna obfitość pomysłów co do użytków jakie laska dać nam może. Mamy więc laski z elektrycznemi lampkami, z małym rewolwerem, zapalniczką, podręczną toaletką, z lornetą; nie koniec na tem; pochowano w nie i klinskie latarnie, noże, widelce, korkociągi, instrumenta chirurgiczne, rewolwerowy aparat fotograficzny... tutaj już kończymy nasze wyliczenia, zostawiając pole domyślności czytelników.

Ostatnim czasem wynaleziono laskę zawierającą parasol. Bardzo to wygodny pomysł; wobec zachmurzonego nieba nikt już nie będzie zastanawiał się, co należy wziąć z sobą wychodząc z domu: laskę czy parasol?

Nowa laska składa się z trzech części, tak z sobą połączonych, że spojeń nie widać wcale, rozchodzą się one dopiero wtedy, gdy laską stosownie pokręcimy; wówczas wyciągamy z wnętrza laski pożyteczny parasol, zaś trzy osobne części laski-futerału możemy wsunąć jedna w drugą, tak jak rury od lunety; nie dość na tem, wsuwamy je do futerału skózanego i chowamy do kieszeni.

Naturalnie, że taka laska nie może mieć wiotkości trzećki, lecz niema przedmiotu, który posiadałby wszystkie zalety i zadawałby wszystkie gusta.

A. M.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Szkodniki drzew owocowych (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Typy greckie p. E. L. (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Do czego może służyć laska? — Dodatek: Fajareczka, wiersz (z drzew.) — Strachy (dokończenie). — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M^{ss} Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE



FUJARECZKA.

Fujareczkę z wierzby mam
I tak z serca na niej gram,
Oj da dana da!

Kiedy zagram w ranny czas,
Brzmi jej echem cały las,
Oj da dana da!

Dziwuje się każdy ptak
Bo nie umie śpiewać tak,
Oj da dana da!

Moja piosnka płynie z hal
Tam do niebios w modrą dal
Oj da dana da!

J. W.

STRACHY.

(Dokończenie).

— Mieciu, co ty robisz? Jak śmiesz go zaczepiać? — rzekła Władzia coraz więcej przerażona, bo harfa jęczała i dzwoniła coraz silniej...

— Ale obejrzyjże się Władziu i nie bądź dzieckiem! — uspokajał ją z powagą starszego brata Miecio. — No patrz, czy on nie śmiesznie wygląda?

I Miecio przemocą prawie obrócił główkę siostrzyczki, zmuszając ją do spojrzenia poza siebie.

A Władzia, choć z początku wołała:

— Nie chcę! nie chcę! za nic Mieciu, za nic! — spojrzawszy, także roześmiała się radośnie.

Trudnoż bo i było się nie rozśmiać, widok był tak zabawny!

Na leżącej na fortepianie starej harfie, w białej smudze księżycowego światła, które tu wprost z wysokiego okna padało, zamiast oczekiwanego stracha, tańczył po naciągniętych strunach czarny Lizuś babci, kręcąc się w kółko za własnym swoim ogonkiem.

Ruchomy cień własny, który na błyszczącej politurze fortepianu rysował się wyraźnie, na równi z ogonkiem zaciekawiał i niepokoił kotka: wsuwał więc co chwila łapki pomiędzy struny, jakby chcąc pochwycić albo zachęcić do wspólnej swawoli tego drażniącego towarzysza, a że struny przy tem potracaniu brzęczały, Lizuś zniecierpliwiony targał je i skrobał pazurkami, co zamiast je uci-

zyć, wywoływało coraz rozpaczliwsze i więcej przeciągłe jęki, do których w końcu przyłączyło się i miauczenie Lizusia!

Dzieci uszczęśliwione takim zakończeniem przygody, która je tyle strachu nabawiła, uśmiechały się teraz patrząc na zabawne skoki Lizusia.

Czasem rozfiglowany kotek zeskakiwał aż na ziemię i wtedy to słychać było ów przytłumiony odgłos niby upadku czegoś miękiego; widocznem było, że i łoskot który obudził Władzię, sprawił Lizuś, strącając na ziemię jakąś książkę.

— Ach, jak stamtąd pachnie! — rzekł naraz Miecio; oglądając się na drzwi pokoju ze święconem.

— Prawda, że pachnie... ale teraz trzeba już wracać do łóżka — i Władzia wygłaszając to rozsądne postanowienie, przysunęła się bliżej do drzwi pokoju ze święconem...

— Pokazuje się, że Pietrusia chyba z nas żartowała z tą historią o strachach: ja zaraz wiedziałem, że to bajka!

— Tak? a przed chwilą powiedziałeś, żeś zaraz wiedział, że to prawda. — Ależ jak pachnie, jak pachnie! — i Władzia wciągała z upodobaniem rozkoszną woń, przyciskając nos do szpary we drzwiach.

— Powiedziałem, powiedziałem... no, bo mi się tak podobało! — odparł zawstydzony zarzutem Miecio — a ty, zamiast mnie łapać za słowa, wołałabyś spróbować kłamek, czy też drzwi od pokoju ze święconem są zamknięte? Bo zresztą, kto tam wie? jeśli nie strachy, to

mogli tu przychodzić złodzieje, mogli się zakraść do tamtego pokoju i wynieść całe święcone babci, ja tam za nic nie ręczę, kiedy tu były takie hałasy.

— Ale Mieciu, przecież mi sam przed chwilą pokazałeś, że to kotek... Wiesz, ja naprawdę aż tu poznaję zapach tego ciemnego tortu z orzechów smażonych w miodzie!

— Kotek, kotkiem, a przekonać się nie zawadzi! Prawda, że orzechy z miodem, więc pomyśl tylko coby to była za szkoda, gdyby tak już połowy tortu brakowało! mogli sobie wziąć, na przykład tę najwyższą babę, z kremową różą na wierzchu.

— Albo mazurek daktylowy i to proszę z chrzanem w zębach.

— Albo nasze własne pisanki i baranka! to byłoby okropne! Władziu, trzeba tam wejść koniecznie.

— Dobrze, jeżeli tylko otwarte...

Drzwi okazały się zamknięte tylko na klamkę, bo ponieważ dostęp do pokoju ze święconem był tylko przez pokoje gościnne, więc babcia nie uważała za potrzebne tych drzwi na klucz zamykać. Dzieci ze swoją migotliwie chwiejącą się świeczką w ręku, znalazły się od razu wobec stosu zastawionego wszystkimi najponętniejszymi wielkanocnymi przysmakami.

— Nic jakoś nie brakuje — wyrzekł Miecio prawie trochę zawiedziony, że się tu nic nie stało nadzwyczajnego.

— Aj tak mi ślinka do ust idzie! Mieciu, chodźmy stąd, bo nie wytrzymam.

— Otóż tu dziewczyna! zaraz jej język do łakotek ucieka — osądził pogardliwie Miecio i wyciągnął sam rękę po duży rodzynek, który wykruszywszy się z placka z serem, leżał na białym obrusie.

— Mieciu, nie będziemy nic ruszać — szepnęła Władzia.

Miecio zarumienił się i cofnął rękę. — Aj, prawda, że nie wolno! no, to chodźmy już lepiej spać, jutro tu z babcią i mamusią przyjdziemy. Prosiłem niani żeby nas zbudziła raniutko, gdy tylko babcia wstanie, rozdzierać święcone dla czeladzi.

— Chodźmy; musi już być strasznie późno, gdzieś nad ranem! Ciekawam czemu to mamusia jeszcze się kłaść nie przychodzi.

Nie było jednak wcale tak późno jak się dzieciom zdawało, bo zbudzone swoją przygodą z pierwszego snu, myślały, że już musi być dobrze po północy, gdy jeszcze nie było dziesiątej. Babcia i mamusia zagadały się dłużej ze sobą, i dzieci pomimo stałego postanowienia, że nie zasną przed przyjściem mamusi, aby jej zaraz opowiedzieć całą awanturę ze strachami, pozasypiały jednak, tym razem tak twardo, że nawet nie słyszały jak drzwi skrzypnęły, gdy ona wchodziła.

Nazajutrz rano, obudziwszy się, Miecio i Władzia sami nie byli pewni, czy im się cała nocna przygoda przyśniła, czy też oni naprawdę wstawali w nocy ze swoich łóżeczek i polowali na stracha?

Za to teraz trzeba było wstawać prędko nie na żarty, bo niania, budząc dzieci powiedziała, że babcia już wiąże czepeczek i zaraz pójdzie do pokoju ze święconem. Spieszyli się też z ubieraniem tak, że babcia jeszcze pię-

ciu minut nie gospodarowała przy nieckach i stole, gdy oni już przybiegli do niej na dzień dobry.

Zastali jednak babcię jakoś zakłopotaną i niezadowoloną: Tego jeszcze nigdy nie było, mówiła, brakuje całe pół kielbasy, placek z serem nadgryziony, sól rozsypana i flaszcza z oliwą wylana!...

Ciekawam, kto też tu mógł gospodarować po nocy?

Miecio i Władzia słysząc to struchleli: A więc przecież nie wszystko im się przyśniło! przecież był tu ktoś tajemniczy i wykonał zamach na święcone, a oni nie zdołali temu przeszkodzić!

— Babuniu, czyżby to naprawdę był „strach” z dużej sali?

— Jaki strach? Władziu, co ty wygadujesz? wstydz się, taka duża dziewczynka i wierzy w strachy!

— Ja nie chcę wierzyć, babuniu, ale my tu doprawdy nic nie ruszyliśmy!

— Jakto, wy? przecież nie byliście tu w nocy?

— Owszem, babuniu, bośmy się bali czy jaki złodziej albo strach nie skradł święconego. Ale ja tylko chciałem wziąć jeden rodzynek i nie wziąłem.

— A ja, powąchałam dwa razy torcik czekoladowy i raz prosiłko z tym chrzanem, i nic więcej!

Babunia patrzyła na wnuczęta nie wiedząc czy śmiać się czy gniewać wobec takiego wyznania; że mówiły prawdę, widać to było po ich jasno i otwarcie patrzących oczkach, zresztą te dzieci nigdy nie kłamały.

— Proszę jaśnie pani, a oto i wiadomo już kto się sprawił z kielbasą: ot, jak się wylega! objadł się, że się ruszyć nie może — i kucharz podnosząc długo spadający obrus pokazał pod stołem, śpiącego jakby na posłaniu, na ściągniętej serwecie, Lizusia!

— Lizus! Lizus! to doprawdy nasz strach z dużej sali! — zawołały dzieci klaszcząc w ręce.

— Ależ ja tego kota z pewnością tu nie zamknęłam, skąd się tu wziął? i co mi znowu, malcy, pleciecie o dużej sali?

Teraz przyszła na dzieci pora zawstydzić się bo zrozumiały w tej chwili, że to one otwierając drzwi niepotrzebnie, wpuściły do pokoju ze święconem kota, który mógł być jeszcze więcej narobić szkody babuni. Niby to chciały obronić święcone przed jakimiś wymyślonymi złodziejami, ale same czuły dobrze, że to nie tyle szło o złodziei, ile o powąchanie zbliżka wszystkiego i napatrzenie się przysmakom, a to przecież łakomstwo. Szczęście jeszcze, że nic nie ruszyły, choć mało i do tego brakowało!

Babcia, widząc zawstydzone minki swoich pieszczochów, zaczęła się dopiero o wszystko rozpytywać; ale gdy usłyszała prawdziwą historię o „strachach”, uśmieła się tak serdecznie, aż i dzieci zupełnie się rozweseliły.

— To mi się podoba! to się doskonale udało! — powtarzał wciąż babcia. — Muszę tę całą historię wszystkim ludziom we dworze opowiedzieć, a może już raz przecie skończą się te niedorzeczne powieści o duchach w dużej sali! Nie żałuję, żeście się wystraszyły, bo mam nadzieję, że zawsze pamiętać będziecie, iż najczęściej, każdej, choćby najwiarogodniejszej powieści o strachach, dało początek jakieś podobne jak w naszym kółku, całkiem naturalne i często śmieszne zdarzenie!

Przez całe święta jeszcze wiele razy powtórzono

w Borowej i opowiadano wszystkim sąsiadom, nocną przygodę z grającą harfą i strachem na święconem! — a choć przytem dzieci jeszcze się nieraz zawstydzili, gdy goście babuni żartowali z ich wyprawy na obronę święconego, uwieńczonej wpuszczeniem kota między szynki i kiełbasy, jednak pocieszało je to, że im przecież każdy przyznawał, iż dali w istocie dowód odwagi.

Dumni tem, Miecio i Władzia postanowili nigdy odtąd w żadne powieści o strachach nie wierzyć.

Zofia Mrozowicka.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-ss MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Jeżeli macie upodobania waszej matki, powinniście lubić kwiaty.

O mało nie skakałam z radości.

— Dzięki ci, dzięki stryjasku — zawołałam — jakiś ty dobry! A czy pieniędzy starczyło?

— Masz tu nawet resztę, schowaj ją. No, do widzenia dzieci, bawcie się dobrze.

Pozostawszy sami, wzięliśmy się do rozwijania paczek. Pączki były w miarę przyrumienione, ciastka nałożone kremem czekoladowym lub kawowym, a pianki pysznie wyglądały. Wszystko, sądząc z pozoru, musiało być wymienione.

Rozłożyliśmy skarby nasze na talerzykach, rozstawiając je z pół tuzina razy, a gałązka azalii oznaczała miejsce naszego drogiego gościa.

Zajęło nam to dużo czasu; o chorobie Tomcia nie było już mowy, bawiliśmy się tak dobrze, że piękna Złotowłosa zesła nas niespodzianie.

— Niech pani patrzy, niech pani patrzy — wołali Tomcio i Józio, prowadząc ją w tryumfie do nakrytego stołu. — Widziała pani coś równie wspaniałego?

— A będziemy jeszcze mieli i strudelki — nie omieszkał zapewnić Tomcio.

Józio zaś uznał za stosowne dodać:

— Dałem cztery pieniążki na ciastka, Zosia mi jeden oddała i...

— Cicho Józiu — zawołałam — jakiś ty niegrzeczny.

Ale piękna Złotowłosa nie wzięła za złe tego nietrafnego odezwania i uściskała nas, dziękując za przyjęcie.

— Wie pani — rzekł Józio — to stryj nam załatwiał sprawunki w cukierni.

— A od siebie dał nam azalję — dorzucił Tomcio.

— Tak?! — odpowiedziała piękna Złotowłosa i nachylając się ku mnie, uściskała mnie czulej jeszcze niż zwykle.

Jakaż to była wesoła uczta! Nigdy chyba o ściany naszego pokoju nie odbiło się tyle śmiechów. Towarzyszka nasza taka była dobra, miła, przyjemna, że żadnego z nas swoją obecnością nie mogła onieśmielić. Miała dar zabawie-

nia dzieci; graliśmy najpierw w różne gry, następnie w domino. Po ogólnej partyi, wygranej przez Tomcia, nauczyła moich braciszków budowania z domina pałaców, wież, mostów i t. p. a pozwalając im swobodnie wprawiać się w sztukę architektoniczną, pociągnęła mnie do siebie i rozpoczęła poważną pogawędkę, przekładając mi jak bardzo źle postąpiłam, knując ucieczkę z Tomciem i Józiem.

— Mała taka jak ty dziewczynka nie powinna sobie wyobrażać, że jest mądrzejszą od całego swego otoczenia; obowiązki jej streszczają się w jednym wyrazie: posłuszeństwo. Choćbyście byli zdrowo i szczęśliwie dojechali do Kasi, co jest rzeczą wielce wątpliwą, gdyż zamiar wasz przedstawiał dużo trudności, których się nie domyślacie, kwestya wielka, czy czulibyście się tam szczęśliwsi. Szczęście można znaleźć tylko na prostej i właściwej drodze obowiązku — zakończyła.

— A jednak, gdyśmy panią spotkali — zauważyłam ze śmiechem — błędziliśmy właśnie.

Piękna Złotowłosa uśmiechnęła się i na mój zarzut odparła, że już wtedy szukaliśmy dobrej drogi.

— Pewną jestem — dodała — iż szczerze wówczas żałowałaś, żeś wyszła bez pozwolenia.

— Oh! ma się rozumieć! — odparłam.

— Napisałam do Kasi — mówiła dalej — czy chcesz list mój przeczytać?

Na twierdzącą z mej strony odpowiedź, odczytała list głośno. Donosiła naszej niani, że wszelkie nieporozumienia między nami i stryjem ustały, że odtąd niewątpliwie zadowoleni będziemy z naszego położenia, że nową dla nas dozorczynię ona sama wyszuka. Wreszcie zapytywała o zdrowie matki Kasi i kończyła zapewnieniem, że stryj Franciszek ma zamiar wysłać nas na kilka dni do Cray, jeżeli tylko będziemy grzeczni.

Dopisałam kilka wierszy do listu, aby Kasię tem wodniej przekonać, że z własnej woli wyrzekłam się zamiaru ucieczki od stryja.

Żeby już z tą sprawą skończyć dodam, że nie wiem z jakiej przyczyny, ale zapewne wskutek mylnego adresu pierwszy list mój wcale rąk Kasi nie doszedł; gdybyśmy więc, jak to zamierzałam, uciekli byli z domu, dojechawszy chociażby szczęśliwie do stacyi kolei, nie zastalibyśmy tam nikogo i znaleźlibyśmy się sami, nieświadomi drogi, wśród obcych, o jakie kilka wiorst od Cray! Dreszcz mnie na samą tę myśl przechodził!... Tomcio wkrótce wyzdrowiał zupełnie i wizyta nasza u pięknej Złotowłosej doszła do skutku. Gdybym miała drobiazgowo opisywać wszystko, cośmy u niej widzieli i co zaszło podczas długiej nieobecności rodziców, nigdybym nie skończyła. Dostyc będzie, gdy powiem, że spotkanie z piękną Złotowłosą najszybciej na nas oddziało. Przywiązanie jej nigdy nas nie zawiodło, obralibyśmy ją sobie za drugą matkę, a ona uważała nas za przybrane dzieci. Chodziliśmy do niej kilka razy na tydzień i największą dla nas karą była groźba, że widzenia z nią będziemy pozbawieni. Zima przeszła w ten sposób. Przestaliśmy na los nasz się uskarżać. Stryj Franciszek pomimo licznych zajęć codziennych choć kilka chwil nam poświęcał, czuliśmy, że nas szczerze kocha i odpłacał nam równie serdecznym przywiązaniem.

(d. c. n.)

ZA GADKA. przez E. M.

Ciemnopióra, chyżołotna, wysmukła ptaszyna,
Zwinne skrzydła, wodne tonie muskając, rozpina;
Zlepi gniazdko nad okienkiem i za blaskiem słońca
Wnet podąży gdzieś za morze, i wraca bez końca;
Znów szczebioce nam, zawodzi zygzaki i kółka:
Wiosny, łąk, stawów, chat niskich znana przyjaciółka.

LOGOGRYF.

ułożyła Helenka G. dla Witoldka G.

Z następujących sylab: Ma — i — e — ja — se — e — ro —
ce — e — i — per — a — to — ró — za — a — ja — wa — sko — eu — ro
cy — el — ta — gna — zop — ni — wa — ol — dan — co — fez — zy —
nam — me — biasz — za — grzeb — nas — dwi — len — wro — ro
— ra — tra — ster — pan — cy — na — sto — ra — dor — bu — tyst —
na — ga — cya — nek — pa — ty — pol — ko — ułożyć 23 wyra-
zy, których początkowe litery czytane z góry do dołu
utworzą jeden wiersz z poematu „Pan Tadeusz”. Zna-
czenie wyrazów: 1) Nazwa północnego końca Polopenezu
2) Imię bajkopisarza. 3) Bajkopisarz z VI w. przed Chry-
stusem. 4) Imię żeńskie także miasto w Europie połud.
5) Miasto nad m. Czarnem. 6) Bózek wiatru. 7) Rzeka
wpadająca do m. Śródziemnego. 8) Miasteczko nad Pru-
tem. 9) W starożyt. miasto w Małej Azji. 10) Patron rol-
ników. 11) Prowincja w Brazylii. 12) Kamień czyli kwarc
fioletowo-niebieski. 13) Pobożny Izraelita z pokolenia
Naftali. 14) Piękny, wonny kwiat naszych ogrodów. 15)
Miasto w Kroacji. 16) Owoc hodowany u nas w cieplarni.
17) Imię księżniczki szląskiej. 18) Miasto w Hiszpanii.
19) Zwiastun wiosny. 20) Część świata. 21) Nabożeństwo
adwentowe. 22) Instrument muzyczny z metalowymi
strunami. 23) Odnoga Elby.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

ułożył Orzeł z nad Żuław.

1. Spółgłoska.
2. Kwiat purpurowy.
3.
4. Hebrajska nazwa wielkiego, pięknego ogrodu.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery powinny utwo-
rzyć imię żeńskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Szarady: Tu — li — pa — ny.

Logogryfu:

- 1) IzyD. 2) JabłkO. 3) KieL. 4) RamajanA. 5) Amol.
- 6) SeN. 7) ZambezI. 8) EglE. 9) WaterforD. 10) SalernoO.
- 11) KapitoL. 12) IzydA.

I. J. Kraszewski — Dola i niedola.

ŁamigłóWKi:

		E		
	A	B	O	
K	O	R	E	A
J	A	P	O	N
			I	A

Skrzynka do listów.

Panu I. N. z Ch. dziękujemy za jego dobre chęci i z łami-
główek i logogryfów nieco trudniejszych do odgadnienia niż przy-
słane nam, chętnie korzystać będziemy.

Cieszymy się, że *Janusz U.* który dopiero od pół roku jest
prenumeratorem *Wieczorów*, takiego nabrał w nich upodobania,
iż życzy sobie zaliczyć się nazawsze do grona naszych czytelników.
Nadesłany kwadrat magiczny wydrukujemy o ile do tego nadawać
się będzie, szarada i łamigłówka dobrze rozwiązane.

Stosownie do życzenia *Chrabąszcza majowego* „*Wieczory*”
pod wskazanym obecnie adresem przesyłane mu będą.

Nido..... podając zagadnienie arytmetyczne, nie dołączył
rozwiązania, które powinno być przysłane.

Dobre rozwiązanie łamigłówek nadesłali: *Bury K. i Fiołek*
z Łodzi.

Jako podręcznik do zbierania roślin i owadów polecamy *Ka-
walerowi* „Przewodnik dla urządzających zbiory botaniczne i ento-
mologiczne p. Wierczyńskiego Losia”. Cena kop. 20 bez przesyłki.

Zyskaliśmy obiedwie na wzajemnem zapoznaniu się, *Wisien-
ko* kochana, ty dla łatwiejszego porozumienia się listownie z polu-
bioną ptaszyną, dokładasz usilniejszych starań i czynisz pędzące
postępy w stylu i w piśmie, co niemałą korzyść przyniesie ci
w przyszłości, mnie zaś przybyła jedna więcej miła przyjaciółka,
która bez niepotrzebnych ceremonii zowie mnie swoją „drogą i ko-
chaną jaskółeczką.” Pod tak dobrą wróżbą rozpoczęła korespon-
dencja jest zapowiedzią życzliwego stosunku, który, nie wątpię,
trwać będzie długo.

Zapraszasz mnie do waszego ogródka *Mulinke litewska*,
wyobrażam sobie, jak tam ładnie być musi, skoro sama kopiesz
grządki, siejesz warzywa, sadzisz kwiatki. Zachęcona serdecz-
nem wezwaniem twojem, chętnie podążyłabym w wasze strony, po-
magając w zajęciach ogrodowych, choćby wytepieniem robacz-
ków i owadów szkodliwych dla roślin, przez was pielęgnowanych,
gdyby nie to, że do murów miejskich przykuwa mnie obecnie obo-
wiązek, a wiesz dobrze, że przed obowiązkiem wszystko w życiu
ustąpić musi, tem więcej nie wolno go poświęcać dla własnej przy-
jemności. Rada jestem, że wam tak dobrze powiodła się komedyj-
ka, odegrana na inieniny ojca, drukowana w „*Wieczorach*”, zbior-
ków wszakże takich komedijek jest bardzo niewiele, postaram się
przecież, by ci przesłać ich tytuły.

Nie martwię się, *Rezedko* kochana tem, że się jeszcze trochę
jąkasz czytając i nie wątpię, że przy dobrej woli nauczysz się
czytać gładko i płynnie. Wszak słyszałeś o Demostenesie, który
jąkając się w dzieciństwie, przy usilnej nad sobą pracy wykształcił
się na najznakomitszego mówcę w Grecji. Odwagi zatem i wy-
trwałości, *Rezedko*, a starania twoje również pomyślnym rezultatem
uwieńczone będą. Kwadrat magiczny ułożony przez ciebie, podo-
bał mi się, ale nie małej ptaszynie sądzić dane o jego wartości; tę
pracę twoją, jak również szaradę Kowalik, złożyłam Redakcyi.

Wabisz mnie, *Konwilijsko*, opisem kwitnących drzew, śpiewa-
jących wesoło ptaków, mnie jednak nad wszystkie powaby wiosny,
silniej ku wam pociąga urok kochającej się rodziny, wśród której
starsza siostra uczy młodsze rodzeństwo, a brat na cześć drogiej
siostrzyczek układa tak wdzięczne wierszyki, jak te, które do listu
dołączyłaś. Nie małą też ponętą dla mnie stanowi szczerość z jaką
dzielisz wrażenia doznane przy czytaniu powieści w „*Wieczorach*”
nic tak bowiem nie zaciśnięcia węzłów przyjaznego stosunku, jak
wspólność upodobań i poglądów, że zaś obiedwie lubimy szukać
w czytaniu przyjemnych i korzystnych rozrywek umysłowych, do
starczy ci ono zawsze tematu do zajmującej korespondencji z ży-
cziwą ci

Jaskółką.